



ZWIERZENIA POPKULTURALNE

KATARZYNA CZAJKA-KOMINIARCZUK

Mojemu tacie, który pokazał mi Gwiezdne Wojny.

SPIS TREŚCI

WSTĘP	8
-------	---

ZWIERZENIA FANOWSKIE

WSZYSTKO, CO ROBIMY Z MIŁOŚCI, CZYLI JAK OBEJRZEĆ WSZYSTKIE FILMY JEDNEGO AKTORA	15
--	----

NIE ZGADZAMY SIĘ ZE SOBĄ, CZYLI JAK SIĘ KULTURALNIE KŁÓCIĆ O KULTURĘ	25
---	----

SAMEMU NIE ZNACZY SAMOTNIE, CZYLI JAK WYBRAĆ SIĘ DO KINA W POJEDYNKĘ	34
---	----

NAJTRUDNIEJSZE PYTANIE ŚWIATA, CZYLI „JAKI JEST TWÓJ ULUBIONY FILM?”	44
---	----

TO NIE JEST ROZRYWKA TYLKO DLA DZIECIAKÓW, CZYLI NA POPKULTURĘ NIGDY SIĘ NIE JEST ZA STARYM	53
---	----

ZWIERZENIA BIZNESOWE

WSZYSTKIE CYFERKI ŚWIATA, CZYLI JAK CZYTAĆ WYNIKI BOX OFFICE	63
---	----

DUŻO KRWI I MAŁO SEKSU, CZYLI JAK KATEGORIE WIEKOWE ZMIENIAJĄ KINO	75
---	----

ZA ILE MILIONÓW SPADNIE PAN Z KONIA, CZYLI O TYM, ŻE AKTORZY WCALE NIE ZARABIAJĄ ZA DUŻO	85
MILIONY WIDZÓW I SETKI KRYTYKÓW NIE MOGĄ SIĘ MYLIĆ, CZYLI KILKA UWAG O AGREGATORACH OPINII	95
PAŃSTWO FILMOWEGO ŚRODKA, CZYLI O TYM, JAK HOLLYWOOD FLIRTUJE Z CHINAMI	105
Z TYMI PANIAMI TO ZAWSZE KŁOPOT, CZYLI O MIEJSCU KOBIET W PRZEMYSŁE FILMOWYM	116

ZWIERZENIA SPOŁECZNE

POLITYKA NA GŁOWIE, CZYLI O WŁOSACH CZARNOSKÓRYCH AKTOREK AMERYKAŃSKICH	145
KSIĄŻĘ NA NOWY WIEK, CZYLI O IDEALE MĘŻCZYZNY W KOMEDIACH ROMANTYCZNYCH	154
ŻONY MAJĄ WYCHODNE, CZYLI JAK KINO POKAZUJE KOBIECĄ ZABAWĘ	174
NIE JESTEM TU PO TO, BYŚ POCZUŁ SIĘ LEPIEJ, CZYLI O FILMOWYM OBRAZIE OSÓB Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIĄ	183
WSZYSTKIE SKAZY HOLLYWOOD, CZYLI NIE KAŻDY MORDERCA NOSI BLIZNĘ NA TWARZY	194

ZWIERZENIA HISTORYCZNE

BEZ DŹWIĘKU NIE ZNACZY BEZ DUCHA, CZYLI JAK OGLĄDAĆ NIEME FILMY	205
ZATRZYMANA KARUZELA, CZYLI JAK KODEKS HAYNSA ZMIENIŁ HOLLYWOOD	215
KUKURYDZA BYŁA TU PIERWSZA, CZYLI KRÓTKA HISTORIA POPCORN W KINACH	224
KIEDY GŁOS UMIERA OSTATNI, CZYLI O DUBBINGU W KLASYCZNYM HOLLYWOOD	231
PRAWYM SIERPOWYM W GENDER, CZYLI RUDOLPH VALENTINO I POTYCZKI Z MĘSKOŚCIĄ	240
NIJEDNA TWARZ SCARLETT, CZYLI TRZY OBLICZA VIVIEN LEIGH	248

ZWIERZENIA KULTURALNE

KLĄTWA HARRY'EGO POTTERA, CZYLI WSZYSTKIE NIEUDANE EKRYANIZACJE POWIEŚCI MŁODZIEŻOWYCH	262
KOSZULA, KTÓREJ NIE BYŁO, CZYLI O ZMOKNIĘTYM PANU DARCYM	272
MIEŁOŚĆ ZA BRAMKĄ, CZYLI O TYM, ŻE LOTNISKA NAPRAWDĘ SĄ ROMANTYCZNE	282
DALEJ NIE CZYTAJ, CZYLI O LĘKU PRZED SPOILERAMI	289

PRZESZŁOŚĆ UŁADZONA, CZYLI JAK SERIALE KOSTIUMOWE ZNIEKSZTAŁCAJĄ HISTORIĘ	302
SZABLA MELANII, CZYLI OLIVIA DE HAVILLAND I STUDIO SYSTEM	316

ZWIERZENIA BRYTOFILSKIE

MOWA ZŁYCH INTENCJI, CZYLI DLACZEGO ZŁOCZYŃCY MÓWIĄ Z BRYTYJSKIM AKCENTEM	327
NIE TYLKO MAKI, CZYLI JAK BRYTYJSKA POPKULTURA POKAZUJE I WOJNĘ ŚWIATOWĄ	334
ANGLICY NIE CHCĄ FILMÓW O HOMOSEKSUALNYCH ESKIMOSACH, CZYLI JAK BAFTA DBA O REPREZENTACJĘ	343
ZBYT DOBRZE URODZENI? O POCHODZENIU BRYTYJSKICH AKTORÓW	353
TO ELEMENTARNE! CZYLI PIĘĆ SPOJRZEŃ NA CZTERECH SHERLOCKÓW	365

ZWIERZENIA NA DOKŁADKĘ

CAŁY SEZON W JEDEN WIECZÓR, CZYLI NETFLIX BYĆ MOŻE NIE KRĘCI SERIALI	379
HOLLYWOODZKI, TO ZNACZY JAKI? W POSZUKIWANIU KATEGORII	388

PRZESTRZEŃ WSPÓLNA, CZYLI JAK ZACHOWYWAĆ SIĘ W KINIE	398
BEZ TORRENTÓW TEŻ SIĘ DA, CZYLI JAK LEGALNIE KORZYSTAĆ Z KULTURY	409
W KTÓRĄ STRONĘ POSTAWIĆ MEBLE, CZYLI O ZMIERZCHU TELEWIZJI	418
HISTORIA KINA CZY HISTORIA INTERNETU, CZYLI O WIELKIM SPORZE NETFLIXA I CANNES	425

Wstęp

Na pomysł tej książki wpadłam jeszcze na studiach – kiedy zaczytywałam się w anglosaskiej literaturze na temat kina i kultury popularnej. Wpadł mi wtedy w oko gatunek, którego odwzorowania nie widziałam na polskich półkach. Zwykle prace poświęcone kulturze popularnej albo są bardzo naukowe, albo odwrotnie – odnoszą się do kwestii zupełnie podstawowych i kierowane są do laików. Tymczasem w świecie zachodniej refleksji nad kulturą popularną znalazło się miejsce na jeszcze jeden gatunek – zbiór swobodnych esejów i felietonów na temat kultury. Wystarczająco pogłębionych, żeby pozwalały nieco lepiej zrozumieć mechanizmy działania Fabryki Snów, ale napisane na tyle luźnymi przystępnym językiem, że czytelnik miał wrażenie, jakby brał udział w zwykłej konwersacji na tematy kulturalne.

Dlaczego ten sposób opowiadania o popkulturze tak bardzo mi się spodobał? Bo było w nim coś bardzo bliskiego zarówno blogowaniu, jak i mojemu podejściu do rozmów o kulturze. Takich, które z jednej strony wymagają pewnej wiedzy i jej dostarczają, a z drugiej nie są prowadzone naukowym językiem. Nie żebym miała coś przeciwko opracowaniom naukowym – bardzo chętnie je czytam, ilekroć podejmują interesujące mnie tematy – nie da się jednak ukryć, że ich język potrafi być bardzo hermetyczny. Zresztą jest różnica pomiędzy takim zwyczajnym

zainteresowaniem tym, jak działają niektóre mechanizmy kulturowe, a zagłębianiem się w naukowe opracowania. Dodatkowo niesłychanie ważny był dla mnie osobisty ton takich tekstów. Nie każda refleksja musi być naukowa czy ściśle specjalistyczna – nad niektórymi sprawami można się głośno zastanawiać, po prostu rozmawiając z czytelnikiem.

To wszystko sprawiło, że parę lat później zaczęłam pisać tę książkę. Pomysł był prosty – wybrać nie tylko najlepsze teksty z bloga (niektóre z nich wymagały zresztą po latach pewnych uzupełnień – np. tekst o współpracy Hollywood i Chin kończył się w 2015 refleksją nad tym, że teraz będą powstawały filmy w koprodukcji chińsko-amerykańskiej, trzy lata później tekst kończy refleksja nad wycofywaniem się producentów chińskich z Hollywood), ale też napisać zupełnie nowe – takie, które pewnie mogłyby trafić na bloga lub w jakiejś zmienionej formie stać się podstawą prezentacji czy prelekcji na konwencji. Nowe i stare teksty mają razem tworzyć pewną w miarę spójną narrację o współczesnym świecie kultury popularnej w jej szerokim rozumieniu. Nie proponuję żadnej wyczerpującej panoramy kultury popularnej, a raczej subiektywne spojrzenie na nią, mocno zniekształcone przez moje własne zainteresowania. Poruszam tematy, które wydają mi się najważniejsze, najciekawsze, albo też dotyczą spraw, mam wrażenie, stosunkowo mało (w Polsce) opisanych.

Wybierając teksty do książki, szukałam takich, które pozwolą rzucić światło na bardzo różne mechanizmy rządzące popkulturą. Zaczynam jednak od rozdziału, który jest ze wszystkich

najbliższy i – mam nadzieję – przekona was, że fanowskie, osobiste podejście do popkultury to nic złego ani dziwnego. Nawet przygotowanie się do idealnego maratonu seriali może być ciekawe. Od tego osobistego wątku przechodzę do sprawy dla wielu nudnej, ale dla mnie fascynującej – czyli do związku popkultury i biznesu. Wybrałam do omówienia kilka zjawisk związanych z biznesową stroną kultury, bo czasem nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo na treść oglądanych przez nas filmów wpływają decyzje czysto ekonomiczne.

Blok tekstów dotyczący popkultury i społeczeństwa koncentruje się przede wszystkim na kwestiach reprezentacji. Dlaczego? Bo od zawsze interesuje mnie, jak popkultura pokazuje nasze społeczeństwo – kogo stawia na pierwszym planie, kogo skrywa w cieniu i kogo mamy szansę zobaczyć na ekranie. A jednocześnie popkultura jest przestrzenią, w której stajemy oko w oko z problemami społeczeństw i często szukamy odpowiedzi, jak je rozwiązać.

Nikogo nie powinien zdziwić rozdział o popkulturze i historii, a właściwie historii popkultury, a jeszcze dokładniej – historii kina. Nie da się opowiedzieć całej historii kina w kilku esejach. Dlatego jest to dział tematyczny, w którym daję sobie najwięcej wolności. Opowiadam o kilku sprawach, które moim zdaniem są ważne i ciekawe – od zachęty do oglądania niemych filmów po refleksję nad tym, czym był Studio System.

W rozdziale *Zwierzenia kulturalne* próbowałam zmieścić teksty, które pokazują relacje popkultury do innych dzieł tradycyjnie zaliczanych do tzw. kultury wysokiej, a także odpowie-

dzieć na pytanie, jak popkultura wpływa na nasze postrzeganie niektórych zjawisk. W tym miejscu próbuję znaleźć odpowiedzi na pytanie o to, dlaczego tak wiele ekranizacji powieści dla dzieci okazało się klapą, jak i o to, dlaczego popkultura postrzega lotniska jako miejsca romantyczne. Ten rozdział chyba najlepiej pokazuje, jak wiele bardzo różnych kwestii pojawia się, kiedy – zamiast tylko oglądać i czytać – zaczniemy sobie zadawać pytania, dlaczego dana scena dzieje się na lotnisku bądź dlaczego filmowa Narnia nie odniosła sukcesu.

Przedostatni blok tekstów, *Zwierzenia brytofilskie*, to zapis mojej trwającej od lat fascynacji brytyjską popkulturą. Związana z Ameryką językiem, ale oddzielona od niej oceanem, jest fascynująca, bardzo charakterystyczna i zawieszona gdzieś pomiędzy hollywoodzkimi schematami a własną tożsamością. Poza tym co kilka lat produkuje fantastycznych przystojnych aktorów, którzy zdobywają niemal wszystkie nagrody, jakie wymyślili Amerykanie. Ostatni rozdział – *Zwierzenia na dokładkę* – zawiera teksty, w których zastanawiam się nie tyle nad treścią popkultury, ile nad jej mediami i przestrzeniami. Nad tym, jakie znaczenie ma dla jej odbioru budynek kina, internetowa platforma czy ekran telewizora. We wszystkich działach pojawiają się teksty zarówno teksty starsze, jak i nowsze, te znane czytelnikom mojego bloga i przygotowane specjalnie na potrzeby książki.

Nie będę ukrywać, że moim największym lękiem w chwili oddawania tej książki w ręce czytelnika będzie posądzenie mnie o pretendowanie do roli wielkiego znawcy, absolutnego eksperta. Nigdy nie ukrywałam, że nim nie jestem. Jestem wielbicieleką

popkultury, zwłaszcza kinematografii; osobą, która od dziesięciu lat pisze o zjawiskach obecnych w najbardziej popularnych nurtach kultury. Przez ten czas wiele przeczytałam, wiele dyskutowałam i wiele się nauczyłam. Nie znaczy to, że wiem wszystko i że się nie mylę. Nie chcę też sugerować, że znam się na opisywanych sprawach lepiej niż eksperci i naukowcy korzystający z narzędzi, jakie daje im – w zależności od metody zainteresowań – kulturoznawstwo, językoznawstwo, filmoznawstwo czy jakakolwiek inna dziedzina badań naukowych. A jednocześnie myślę o sobie jako o popularyzatorce, o kimś, kto wskazuje pola zainteresowań, ciekawe tematy, trudne do rozstrzygnięcia spory – i próbuje zainteresować nimi osoby, które być może nigdy wcześniej o nich nie słyszały. Dla wielu popularyzacja wiedzy plasuje się niżej niż odkrywanie czy głębokie analizowanie zjawisk kulturowych. Dla mnie to najlepszy sposób, by pokazać widzom, słuchaczom i czytelnikom, jak fascynujący jest świat rządzących kulturą mechanizmów. Każde działanie, które pozwala uczynić z kogoś bardziej świadomego uczestnika kultury, sprawia mi olbrzymią radość. Z tego powodu staram się pisać tak, by zainteresować także tych, którzy być może nie zastanawiali się wcześniej, dlaczego filmy, które oglądają, są takie, a nie inne, i nie spędzali długich godzin, zastanawiając się – co tak właściwie znaczą informacje boxoffice’u.

Wydanie zbioru luźnych felietonów, których wspólnym mianownikiem są jedynie osobiste zainteresowania, nie wydaje się proste. Jest w tym też – nie ukrywajmy – lekka nutka bezczelności. Zapewne niejeden być może nieco mniej entuzjastycznie nastawiony czytelnik mógłby zapytać, czy jestem absolutnie

pewna, że światu potrzebne są moje teksty dotyczące różnych tematów związanych z popkulturą. Przyznam szczerze: uwierzyć w to, że książka ma sens, pomogło mi zainteresowanie czytelników mojego bloga, którzy pytali, czy moje teksty o popkulturze kiedykolwiek ukażą się drukiem. Myślę, że dla moich stałych odbiorców książka może mieć pewną wartość sentymentalną, a dla osób, które jeszcze nie znają moich tekstów i sposobu pisania, może to być dobry wstęp do pewnego sposobu myślenia o popkulturze, który wcześniej być może był dla nich obcy. Jednocześnie – nie ukrywam – po kilku latach regularnego pisania człowiek pozbywa się lęku przed opinią innych i nabiera, być może przesadzonej, wiary w atrakcyjność swoich przemyśleń. Nie zmienia to faktu, że i tak być może powinnam poczekać jeszcze trzydzieści lat, aż włosy pokryje mi siwizna, i wtedy dopiero zasiać do spisywania swoich refleksji. Ale wówczas od czego jest wydanie drugie, poprawione.

ZWIERZENIA FANOWSKIE

WSZYSTKO, CO ROBIMY Z MIŁOŚCI, CZYLI JAK OBEJRZEĆ WSZYSTKIE FILMY JEDNEGO AKTORA

Wyobraźcie sobie taką sytuację. Zakochaliście się. Prawdziwie. Mocno. Głęboko. Obiektem waszych uczuć jest jednak nie jakiś miły mężczyzna czy sympatyczna kobieta, ale aktor lub aktorka. Kochacie prawdziwie, choć nie jesteście pewni, za co – za talent, za konkretną rolę, za ekranową prezencję. Aby dokładnie określić, skąd wziął się w was taki nagły porыв uczuć, musicie sprawdzić, czy przypadkiem nie zapałaliście uczuciem tylko do jednej roli. Pojawia się więc myśl, że chcielibyście spędzić jak najwięcej czasu z ukochanym czy ukochaną, czyli obejrzeć wszystkie filmy i seriale, w których się pojawił czy pojawiła. A może kierują wami inne emocje – czujecie, że kogoś nie lubicie. I nie wiecie, dlaczego jakiś aktor budzi w was niechęć. Pozostaje tylko jedno logiczne wyjście – sprawdzić, skąd bierze się to niemiłe uczucie. Jak? Ponownie – testując waszą wytrwałość. Ale jak to zrobić, by nie zwariować i przy okazji niczego nie przegapić? Już spieszę z pomocą. Oto uniwersalny poradnik oparty o własne doświadczenia śledzenia wielu aktorów i aktorek. Dowiedziecie się, jak zobaczyć wszystkie filmy jednego aktora lub aktorki i nie zwariować.

Wszystko nie znaczy wszystko

Tak, moi drodzy, jeśli w pewnym momencie znudzi wam się oglądanie filmów z jednym aktorem, to spokojnie możecie dać sobie spokój. Nie ma żadnej komisji, która sprawdza, czy na pewno zobaczyliście wszystko. Jasne, fajnie się pochwalić znajomym, że znamy całą czyjąś filmografię, ale serio – jeśli minie wam ochota albo jakiś film będzie naprawdę średni, to możecie sobie po prostu darować. Danie sobie przyzwolenia na to, by nie trzymać się rygorystycznie takiej listy, jest naprawdę doskonałym pomysłem. Zwłaszcza pierwsze filmy mogą okazać się nieco... Cóż, nie wszyscy aktorzy zaczynali od wielkich ról, większość z nich pojawiała się z początku na trzecim planie. Jeśli jakaś produkcja wydaje się wam bardzo nudna i nieatrakcyjna, albo tak zła, że właściwie niemożliwa do oglądania, to możecie ją sobie odpuścić. Osobiście przyjmuję zasadę, że trzy, cztery filmy każdego aktora można sobie darować. Piszę o tym na wstępie, bo wyzwanie, jakim jest obejrzenie wszystkich filmów danego aktora, niektórzy traktują niesamowicie poważnie. Tymczasem jest to przede wszystkim zabawa, i tak przede wszystkim należy do tego podchodzić.

Raczej IMDB niż Filmweb

Wiecie, jaka jest jedna z największych przewag serwisu Imdb? Jeśli tylko wchodzić na stronę, to możecie nawet nie zauważyć, że ktokolwiek zostawia tam opinie, co więcej – czasem opinie użytkowników serwisu są zestawiane ze średnią na Metacritic, co

pozwała zobaczyć rozbieżność między tymi dwiema uśrednionymi ocenami. Większość Polaków automatycznie korzysta z Filmwebu, ale moim zdaniem Imdb jest lepszym sposobem na to, by dowiedzieć się wszystkiego o filmie bez przejmowania się opiniami innych ludzi. Piękno oglądania filmów metodą „śledzenia aktorów” polega na tym, że decydujemy się na mieszankę dobrych i złych, ale serwisy nie muszą nam o tym ciągle przypominać. Jednak przewagą Imdb jest przede wszystkim podawanie wszystkich danych dotyczących ról aktorów – nawet tych, które mogą umknąć polskiemu serwisowi. Co więcej, dostępne są one w wersji oryginalnej, co bardzo ułatwia wyszukiwanie ich w sieci. Polskie tytuły potrafią być niekiedy bardzo mylące. Poza tym nie trzeba korzystać z żadnej strony do odznaczania obejrzanych filmów. Można to robić w osobnym pliku na komputerze. Albo jeszcze lepiej – nigdzie nie zapisywać, ile obejrzelśmy, tylko starać się to zapamiętać i cieszyć się takim osobistym wyzwaniem, które nie wymaga od nas robienia notatek i zdawania egzaminów.

Od małych do dużych czy od starych do nowych?

Istnieją zasadniczo dwa sposoby oglądania filmografii aktora czy aktorki. Jeden z nich jest dość radykalny i polega na chronologicznym oglądaniu wszystkiego ze spisu Imdb. Można zacząć od ról wczesnych i iść w kierunku współczesności albo zacząć od tego, co jest nam lepiej znane, a potem dopiero oglądać pierwsze role aktora (tę metodę stosuję najczęściej). Ale jest też nieco bardziej wyrafinowany sposób, polegający na tym, że przyglądamy się obsadom filmów i wybieramy tylko te, w których

nasz aktor / nasza aktorka pojawia się na samej górze listy obsadowej. Trzeba jednak zaznaczyć, że takie spisy są często mylące. Wielokrotnie zdarzało mi się obejrzeć film, z opisu którego wynikało, że lubiany aktor gra rolę drugo- lub trzecioplanową, a tymczasem był na pierwszym planie. Dlatego polecam raczej oglądanie chronologiczne. Sama zaczynam od nowych, ale można obserwować na przykład, jak aktor się wyrabiał, i zaczynać od pierwszych jego ról (nawet najmniejszych). Dzięki temu np. oglądając *Rydwany ognia*, można zobaczyć, jak przez kilka sekund w tle jednej ze scen po dzielnińcu przechadza się młody człowiek. To Kenneth Branagh, obecnie znany reżyser i aktor.

Nie czytaj streszczeń!

Największą tajemnicą czerpania przyjemności ze śledzenia filmów z jednym aktorem jest oglądanie kolejnych tytułów bez względu na treść czy poziom produkcji. Rzykujemy, ale najwyżej nie obejrzymy do końca. Jeśli takie spotkanie z filmografią aktora ma nam naprawdę przynieść radość i trochę nas wyedukować, warto sobie wyznaczyć takie zadanie – obejrzeć rzeczy, o których wiemy tylko tyle, że gra w nich ktoś, kogo lubimy. Czasem streszczenia odstraszą nas od tego, co inne, nieznanne, może trochę trudne. Ale niekiedy warto spróbować obejrzeć coś, co może się nam na początku wydawać nudne czy dziwne. Można w ten sposób poznać wiele produkcji, po które inaczej nigdy byśmy nie sięgnęli. Niekiedy to będzie kino bardziej ambitne, kiedy indziej – dużo bardziej rozrywkowe. Poza tym, patrząc na kolejne artystyczne wybory aktorów, można sobie zadać pytanie – co powodowało daną osobą, kiedy wybierała swoje kolejne role?

Nie bój się złych filmów

Często chciałoby się uniknąć złych filmów, bo właściwie dla czego mielibyśmy tracić na nie czas. Powiedzmy to od razu – nie da się tego zrobić, jeśli za klucz przyjmujemy filmografię jednego aktora. Nikt nie zagrał wyłącznie w dobrych produkcjach. Ale nawet słabszy seans może nas czegoś nauczyć. Jeśli za bardzo nas zirytuje, najwyżej wyłączymy go w trakcie. Jeśli jednak jesteś zainteresowany warsztatem aktora, to zły film jest doskonałym sposobem, by sprawdzić, co właściwie się dzieje, kiedy nasz aktor nie ma nad sobą dobrego reżysera albo kiedy jego techniki aktorskie nie działają tak, jak powinny. Czasem można się w takiej sytuacji bardzo dużo nauczyć na temat tego, co właściwie sprawia, że niekiedy filmy na nas oddziałują, a niekiedy nie. Na przykład parę lat temu, nadrabiając filmografię Colina Firtha, natrafiłam na kilka fatalnych filmów, które w opisie rzeczywiście mogły wyglądać dobrze i rzeczywiście miały doskonałą obsadę. Próba odpowiedzi na pytanie – co w nich nie zagrało, była dla mnie równie interesująca, co zachwyty nad udanymi projektami tego aktora. To jest ciekawy sposób na to, by przekonać się, jak kiepska realizacja dobrego pomysłu sprawia, że film jest nie do oglądania.

Czas jest twoim sprzymierzeńcem

Polecam wszystkim, by rzucali się na filmografię aktorów szybko. Nie ma dla mnie nic ciekawszego niż wypełnienie kilku tygodni dorobkiem jednego aktora. Dzięki temu możemy naprawdę spojrzeć na czyjeś dokonania i na świeżo porównywać

jego gorsze i lepsze role. Jeśli rozłożymy to w czasie, pewne rzeczy będą dla nas mniej oczywiste i niekoniecznie uda nam się dostrzec na przykład charakterystyczny sposób mówienia w określonych scenach czy jakieś powtarzalne w całej filmografii motywy. Nie ukrywajmy – chwilowe intensywne fascynacje sprzyjają podejmowaniu heroicznego wysiłku znalezienia wszystkich produkcji z danym aktorem. No i na dodatek przez co najmniej tydzień czy dwa nie mamy najmniejszego problemu z odpowiedzią na pytanie, co obejrzeć wieczorem. Przy czym oczywiście zdaję sobie sprawę, że to wyzwanie tylko dla tych, którzy takim czasem dysponują. Nie zmienia to jednak faktu, że pomijając już zwykłą fascynację, dopiero kiedy postawimy te filmy obok siebie – w krótkiej perspektywie czasowej – dostrzegamy to, co je łączy. Wielokrotnie zdarzyło mi się odkrywać podobieństwa między filmami tylko dlatego, że widziałam je w krótkich odstępach czasu. Gdyby seanse dzieliły miesiące – pewnie bym tych podobieństw nie dostrzegła.

Serial też? Też (choć niekoniecznie)

Wielu aktorów ma w swojej filmografii jakiś serial. Z aktorami brytyjskimi sprawa jest prosta, bo nawet jeśli grają w produkcji od wieków, ostatecznie okazuje się, że ma ona góra osiem odcinków. Gorzej, jeśli ktoś zaczął karierę, występując w sześciu sezonach produkcji dla młodzieży. Prawda jest taka, że nie ma zasady. Czasem, gdy dowiaduję się, że aktor wystąpił w jednym odcinku albo w bardzo wyraźnym pojedynczym wątku, wtedy odpuszczam sobie cały serial i oglądam tylko te fragmenty. Cza-

sem kończy się to obejrzeniem całego serialu, niekiedy jednak poprzestają tylko na wybranych odcinkach. Zwłaszcza że aktorzy nienależący do stałej obsady serialu często występują w produkcjach, których fabuła stanowi zamkniętą całość. Niemal każdy brytyjski aktor wystąpił w jakimś odcinku *Poirota* czy *Panny Marple* i tu nie ma co się zastanawiać – to właściwie filmy telewizyjne. Nie ma więc obawy, że decydując się na jeden odcinek, zostaniemy zmuszeni do oglądania całego sezonu.

Skoro już oglądasz filmy jednego aktora...

Zabawa w oglądanie filmów metodą „śledzenia aktorów” ma sens, jeśli mamy otwartą głowę. Jakiś inny aktor czy reżyser wydał się nam ciekawy? Warto rzucić okiem na resztę jego filmografii. Zdarzało mi się miesiącami skakać od jednego do drugiego filmu właśnie na tej zasadzie, poszerzając listę obejrzanych produkcji o nowe i ciekawe tytuły. Do tego warto też rzucić okiem na filmy, w których nasz ulubiony aktor jest na przykład narratorem – zdarza się to często w przypadku filmów dokumentalnych. To naprawdę poszerza horyzonty, zwłaszcza że czasem są to produkcje, które pewnie nigdy by nas nie zainteresowały. Ostatecznie może się okazać, że śledzony przez nas aktor poświęcił trochę czasu, podkładając głos pod film dokumentalny o pingwinach. W każdym razie warto od razu podejść do tego maratonu z otwartym sercem – każdy obejrzany film to jakieś doświadczenie i spotkanie ze sztuką filmową. Pewnie, zasiada się do niego z powodu sympatii do aktora, ale to nie powinno w niczym ograniczać.

Oglądać li tylko czy słuchać także?

Pytanie dotyczy przede wszystkim wielbicieli brytyjskich aktorów, którzy zastanawiają się, czy oprócz oglądania należy swoich ulubionych aktorów też słuchać – czyli wejść w świat słuchowisk i podcastów. Powiem szczerze – niby można nie słuchać, ale o ile lepiej spróbować poznać również tę odnogę artystycznej działalności naszego ulubieńca czy ulubienicy. Świat słuchowisk radiowych jest absolutnie przecudowny i każdy sposób, by się w nim zanurzyć, jest dobry. Poza tym, jeśli lubi się aktora, może się okazać, że po wysłuchaniu słuchowiska będziemy absolutnie pewni, że widzieliśmy na własne oczy film z jego udziałem – tak działa cudowny spektakl wyobraźni. Natomiast nie jestem pewna, czy powinno się koniecznie słuchać wszystkich audiobooków nagranych przez ulubionego aktora/ulubioną aktorkę.

No dobra, ale... skąd brać filmy?

To jeden z podstawowych problemów wszystkich osób, które chcą nadrobić filmografię jednej osoby. Chęci są, ale niekoniecznie mamy dostęp do wszystkich tytułów. Trzeba szczerze przyznać, że bez cierpliwości i oglądania części tytułów online się nie da. Choć może to brzmieć dość zaskakująco, sama całkiem sporo – nawet dość egzotycznych – tytułów znalazłam na YouTube.

Jest to też rozrywka dość droga, bo jednak w pewnym momencie trzeba zainwestować w płyty z filmami, często kupując je w ciemno. W ostatnich latach wiele zmieniło VOD. Jest tyle wy-

pożyczalni na życzenie, że czasem gdzieś na końcu katalogu mogą się znaleźć nawet bardzo niszowe tytuły – najczęściej za darmo albo za kilka złotych. Przy czym wielbienie na przykład brytyjskich aktorów jest o tyle ułatwione, że na Amazonie można dostać mnóstwo programów BBC w wydaniu DVD za naprawdę niewielkie kwoty, i to jeszcze w atrakcyjnych pakietach.

A co dalej...?

Oto jeden z dylematów, który często pojawia się w głowach tych, którzy kompulsywnie oglądają wszystkie filmy z jednym aktorem. Czasem taki maraton działa jak doskonała odtrutka na wszelkie aktorskie fascynacje – po kilkunastu filmach z udziałem tej samej osoby nie zawsze chce się nam oglądać kolejne produkcje. Mnie samej często zdarzyło się śledzić karierę aktora tylko do pewnego momentu, a potem się tym znudzić. Choć czasem korci, by nadrobić wszystkie filmy i seriale i dzięki temu być na bieżąco.

Jedno jest pewne – jeśli po takim maratonie nadal lubicie swojego aktora i chcecie oglądać więcej filmów z jego udziałem, to brawo – rzeczywiście znaleźliście swojego ulubieńca bądź ulubienicę. Trzymajcie się ich.

Nie wstydz się

Tak, oglądasz te wszystkie filmy prawdopodobnie dlatego, że jesteś fanem/fanką aktorki/aktora. Naprawdę nie ma w tym

nic złego. Nie musisz ukrywać się przed znajomymi, pomijać tego faktu w rozmowie. Są tysiące powodów, by obejrzeć jakiś film, i obejrzenie go z powodu lubianego aktora nie jest w żadnym stopniu lepsze czy gorsze od sięgnięcia po daną produkcję, bo podoba wam się opis fabuły czy znacie reżysera. Brak wstydu przy tego typu maratonach jest bardzo ważny. Po pierwsze, nie robicie nic złego. Po drugie, zdecydowanie łatwiej szukać tytułów i odpowiedzi, jeśli macie wsparcie znajomych. Po trzecie, oglądanie filmów jest czymś, co zawsze powinno sprawiać przyjemność, a nie być powodem wyrzutów sumienia czy wstydu. Inaczej to nie ma sensu. A jeśli ktoś nie rozumie?

Serio, to nie jest wasz problem.

NIE ZGADZAMY SIĘ ZE SOBĄ, CZYLI JAK SIĘ KULTURALNIE KŁÓCIĆ O KULTURĘ

Wcześniej czy później zawsze do tego dojdzie. W czasie jakiejś całkiem miłej rozmowy okaże się, że film, który uwielbiamy, jest na czyjejs liście największych szmir dwudziestego wieku. Albo wychodząc z kina odkryjemy, że podczas kiedy sami najchętniej skierowalibyśmy się do kasy po zwrot pieniędzy, nasi znajomi chcą kupić bilet na kolejny seans. Wtedy, niestety, konfliktu nie da się uniknąć. Skoro jednak musimy się pokłócić o kulturę – warto zrobić to z sensem.

Spieranie się o kulturę nie jest niczym złym. Wręcz przeciwnie – to właśnie to, co ożywia dyskusję nawet nad wielkim dziełem, pozwala na spotkanie różnych argumentów, perspektyw i interpretacji. Kto wie, ile razy kłócili się ze sobą wielbiciele Słowackiego i Mickiewicza albo zwolennicy tezy, że Dostojewski był lepszym pisarzem niż Tołstoj, z miłośnikami prozy tego ostatniego, a także ci, którzy są przekonani, że *Gwiezdne wojny* to arcydzieło, z tymi, dla których to po prostu bardzo ładna bajka, którą powinny oglądać młodsze dzieci. Nieważne, czy spieramy się o klasykę, o filmy uznane za arcydzieła czy też

o najnowszy odcinek serialu – sama dyskusja nigdy nie jest zła. Warto to zapamiętać, zwłaszcza wtedy, kiedy po raz kolejny słyszymy, że nie ma sensu się spierać – lepiej się rozejść. Spór nie jest niczym złym! Możemy się nawzajem przekonywać, przerywać argumentami i przykładami. Nie chodzi bowiem o to, by koniecznie przekabacić drugą osobę na naszą (jedynie słuszną) stronę, ale by w czasie rozmowy poznać cudzą perspektywę i samemu precyzyjnie sformułować, dlaczego coś się nam spodobało albo nie spodobało.

Na samym początku warto sobie odpowiedzieć na ważne pytanie. Czy to, że coś nam przypadło do gustu bądź nie, ma w ogóle cokolwiek wspólnego z samym filmem, serialem czy książką? Oto prosty przykład z mojego życia. Kiedyś w dniu swoich urodzin poszłam na film *Polowanie na drubny*. Przez długi czas byłam przekonana, że to jedna z najlepszych komedii, jakie widziałam w ostatnich latach. Jak się później okazało, nie był to tak dobry film, jak mi się wydawało, po prostu miałam bardzo miły dzień i doskonale bawiłam się w kinie. Do dziś odczuwam z kolei sporą niechęć do *Domu latających sztyletów*, który oglądałam dzień przed maturą, myśląc głównie o tym, że powinnam się uczyć, a nie siedzieć w kinie (co jest, oczywiście, błędem – dzień przed maturą można sobie co najwyżej uświadomić, że jest za późno, żeby się czegoś nauczyć). Zresztą nie chodzi tylko o okoliczności, w jakich oglądamy film – niechęć do jakiegoś aktora, uwielbienie dla reżysera czy sentyment – wszystko wpływa na naszą ocenę, a jednocześnie niekoniecznie czyni film bądź serial dobrym lub złym.

Skoro już wiemy, dlaczego lubimy film albo go nie lubimy, warto jeszcze stwierdzić jedno. Ten, który się nam podoba, nie musi być dobry. Wszyscy chcemy lubić dobre filmy, podziwiać dobrych aktorów i chwalić dobre serie. Ale jedno i drugie niekoniecznie idzie ze sobą w parze. Zdarzyło mi się obejrzeć za jednym posiedzeniem dwa sezony serialu Hallmarku *The Good Witch*. Nie był dobry. Aktorstwo drewniane, postacie schematyczne, odcinki podobne do siebie i okraszone mnóstwem moralizatorskich monologów bohaterki. Ale mnie się podobał. Był idealny na zimowe popołudnia, kiedy szybko robi się ciemno i człowiekowi nie chce się za bardzo używać mózgu. Jeśli ktoś powie, że serial jest fatalny – nie będę się z nim kłócić. Czy mi się podoba? Jak najbardziej. Te dwie rzeczy niekoniecznie stoją ze sobą w sprzeczności. To, że ktoś krytykuje jakiś film bądź serial, nie znaczy automatycznie, że ty – jako konkretny widz – nie mogłeś się przy nim dobrze bawić czy nawet go bardzo polubić. Jednocześnie twoje uczucia nie wpływają na wartość artystyczną lub techniczną dzieła.

No dobrze, wiecie, co wam w duszy gra; czas na kolejny etap. Język. Język zmienia wszystko. Zdanie: „Uważam, że w tym filmie były główniane efekty specjalne” budzi w nas agresję (zwłaszcza jeśli film się nam podobał), natomiast zdanie „Efekty w tym filmie były bardzo wtórne, ile razy można oglądać nawet największy wybuch” brzmi zupełnie inaczej. Bo z pierwszym można się tylko kłócić, z drugim można dyskutować: „Ale ten film miał tytuł *Olbrzymie wybuchy 3: Powrót wybuchu!* Tak miało być!”. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że nikt nie jest w stanie pilnować się cały czas. Nie zmienia to faktu, że taki

prosty rachunek sumienia po obejrzeniu filmu zawsze pomoże. Wystarczy zadać sobie pytanie, co nam się podobało bądź nie. Czy urzekł nas dobrze skonstruowany scenariusz? Reżyseria? Aktorstwo? Może nie spodobał nam się nastrój filmu? Drętwe dialogi? Słaby montaż? To nie są trudne pytania, a wiele zmieniają. Co więcej – dzięki temu nie musimy bronić czy oskarżać całego filmu, możemy się skupić na tym, co naprawdę nie przypadło nam do gustu.

Warto pamiętać, że jest kilka zdań, których wypowiedzenie nigdy nie kończy się dobrze. Pierwsze z nich brzmi: „Nie znasz się”. Jeśli ktoś istotnie jest laikiem i przychodzi do kina raz w roku, to może nie być dobrze zapoznany z różnymi tropami narracyjnymi czy zabiegami reżyserskimi. Jednak „nie znasz się” to dość personalna uwaga, która pewnie skończy się przedszkolną wymianą zdań w stylu: „Nie, to ty się nie znasz”. Jeśli rozmawiamy z kimś, kto rzeczywiście mało wie, zawsze możemy się z nim podzielić wiedzą: „Sądziysz, że *Avengers 2* to najlepszy film superbohaterski, jaki powstał? Rzuć okiem na *Kapitana Amerykę: Wojnę bohaterów*, moim zdaniem ten jest bez porównania lepszy”. Jeśli z kolei druga osoba ma zupełnie inny gust to – ponownie – rzucone w trakcie sprzeczki „nie znasz się” niczego nam tu nie wyjaśni. Skoro ktoś myśli zupełnie inaczej i coś, co dla nas jest szmirą, bierze za arcydzieło, to może warto się dowiedzieć, dlaczego. Należy tu dodać, że zarzucenie kogoś nazwiskami, nazwami gatunków i tytułami może być bardzo przyjemne, kiedy ma się przewagę wiedzy, która wspiera nasze argumenty, ale trzeba umieć to robić. W dobrej rozmowie warto też pilnować, czy obie strony dobrze rozumieją wszystkie

terminy. W innym wypadku poza demonstrowaniem własnej wyższości niewiele to da.

Drugie zdanie, które nigdy nic dobrego nie przyniesie, brzmi: „Nie rozumiałeś”. To kolejna z personalnych uwag, które w dziewięciu przypadkach na dziesięć kończy się pyskówką. Bo naprawdę – nikt nie chce słuchać, że czegoś nie rozumiał. Zdecydowanie lepiej napisać swoją własną interpretację, nie zarzucając drugiej stronie niezrozumienia. Zwłaszcza, że można rozumieć film i nadal go nie lubić. Tak mniej więcej układa się moja relacja z filmami Nolana – jestem przekonana, że rozumiem zarówno *Incepcję*, jak i *Interstellar*, ale nadal nie lubię tych filmów. I zdradzę wam sekret – bardzo rzadko zdarza się, by ktoś nie rozumiał hollywoodzkiego filmu czy popularnego serialu. Dużo częściej zdarza się jednak, że rozumiał go zupełnie inaczej niż my. Czasem inaczej niż autor filmu czy serialu. Ale to trochę jak w poezji – to, że niektóre interpretacje wydają się bardziej oczywiste niż inne, nie znaczy, że te inne są automatycznie błędne.

Na koniec jeszcze jedno sztandarowe zdanie zaczerpnięte ze sprzeczek o dzieła popkultury: „Ten film/serial/książka powstał(a) tylko dla pieniędzy”. To, że filmy kręci się dla pieniędzy, wiemy wszyscy. Ogólnie mało kto tworzy nie dla zysku, a już na pewno nie w Hollywood. Ale to jeszcze nie znaczy, że coś jest jednoznacznie złe albo dobre. W ogóle to niewiele znaczy. Film, który zrobiono po to, by na nim zarobić, nadal może być dobry – powiem więcej, dobry film ma większą szansę, by dużo zarobić. Jasne, można rozmawiać o ekonomicznych aspektach

produkcji, na przykład o tym, że film nakierowany jest na konkretny rynek albo że producenci próbują zarobić na popularności danego gatunku filmowego. Kultura i biznes spotykają się często i nie można tego zupełnie ignorować. Niemniej samo stwierdzenie, że coś powstało tylko dla kasy, to za mało, by jednoznacznie ocenić dzieło. Dla kasy powstają dzieła dobre i złe. Tu potrzebne jest więcej argumentów. Zwłaszcza że sama chęć zysku może równie dobrze stać za filmem czy serialem zrealizowanym z dużą pieczołowitością, tak by przypadł do gustu zarówno widzom, jak i krytykom.

Następna sprawa – im więcej wiemy, tym lepiej się nam rozmawia. Jasne, niekoniecznie zaraz po wyjściu z kina wiemy wszystko o reżyserze, obsadzie czy historii produkcji. Ale jeśli film się nam bardzo nie podobał (albo podobał!), warto skonfrontować swoje odczucia z opiniami innych. Przeczytać kilka wywiadów (w końcu możemy zakładać, że reżyser chciał zrobić dobry film – niech więc opowie, o co mu chodziło i dlaczego wyszło tak słabo), przejrzeć jakieś recenzje, dowiedzieć się czegoś o twórcach. Może się wydawać, że to za dużo zachodu jak na pogawędkę ze znajomymi o filmie, ale czasem to wiele zmienia. Podam wam przykład: wiele osób w Polsce miało problem z tym, jak dziwnie brzmiał głos Natalie Portman w filmie *Jackie* – niestety, niewiele z nich wiedziało, że aktorka specjalnie mówiła takim tonem, naśladując wymowę pani Kennedy. W Stanach było to dla widzów oczywiste, ale polska publiczność niekoniecznie o tym wiedziała. Takich przykładów jest wiele. Czasem w filmach pojawiają się nawiązania, które zrozumiemy dopiero po lepszym zapoznaniu się z tym, do czego się odnoszą.

Czasem nie wiemy dokładnie, co reżyser chciał osiągnąć. Dzięki temu częściej rozmawiamy o tym, co właściwie obejrzelśmy (czy przeczytaliśmy), a nie tylko o samych emocjach.

No właśnie – zawsze należy pamiętać, że kiedy spieramy się o kulturę, powinniśmy ustalić, o czym dokładnie mówimy. Jeśli ktoś nie lubi, dajmy na to, *Kapitana Ameryki*, bo jest to film, który nie przystaje do osiągnięć europejskiego kina Nowej Fali, to niewiele na to poradzimy, póki nie ustalimy kilku faktów. Na przykład takich, że nie da się wszystkich filmów oceniać na podstawie takich samych kryteriów i że ocena *Kapitana Ameryki* powinna odbywać się w ramach jego gatunku – wysokobudżetowego kina superbohaterskiego. Podobnie zarzut: „Za dużo śpiewają bez powodu”, postawiony musicalowi, czy „Normalnie ludzie tyle do siebie nie strzelają” przy ocenie filmu gangsterskiego nie ma za bardzo sensu. Oczywiście, każda produkcja może lepiej lub gorzej spełniać założenia swojego gatunku, może wносить coś nowego albo trzymać się utartych schematów. Może nawet doskonale spełniać założenia gatunku, ale mieć słabą fabułę. Jeśli ma dojść do sporu, warto pewne rzeczy ustalić na początku.

Skoro, jak już wspomnieliśmy, nie chodzi o zmianę czyjegos stanowiska ani o porzucenie własnych przekonań, to do czego powinniśmy w dyskusji dążyć? Ideałem jest postawa ulokowana gdzieś pośrodku – pomiędzy świadomością, że mamy prawo do własnej opinii, a otwartością na argumenty drugiej strony. Problem w tym, że to wcale nie jest łatwe. Jeśli czegoś nie lubimy albo coś bardzo lubimy, często reagujemy agresją czy irytacją na argumenty drugiej strony. Nawet jeśli są słuszne. Ponownie

podam przykład z mojego życia. Uwielbiam serial Netflixa *Daredevil* – a ponieważ pierwszy sezon spodobał się bardzo wielu osobom, miałam taką komfortową sytuację, że byłam w większości. Niestety, po drugim sezonie okazało się, że choć moja miłość do serialu i bohatera nie wygasła, większość krytyków miała sporo zastrzeżeń. Jak tu się jednocześnie cieszyć i bronić? Ostatecznie najlepszym rozwiązaniem okazało się nie udawać, że produkcja nie ma wad. Ma. Ale, jak pisałam wcześniej, nadal mogę ją lubić i widzieć jej dobre strony. Ostatecznie kiedy dyskutuję o serialu, zwykle wypowiadam zdanie: „Masz rację, w drugim sezonie *Daredevila* pojawiło się zdecydowanie za dużo ninja, ale za to Foggy Nelson był super”. O dziwo, tak sformułowana opinia dużo częściej rozpoczyna spokojną rozmowę niż „Daredevil był super od początku do końca, spadaj”. Zwłaszcza że – co jest zawsze trochę zabawne – bardzo często okazuje się, że nawet stojąc po przeciwnych stronach barykady mamy podobne spojrzenie na niektóre elementy fabuły.

Na koniec warto zaznaczyć, że wszyscy mamy jakieś wytwory kultury, których krytyki nie lubimy. To takie nasze skarby – kochamy je mimo wszystkich wad, a każdą krytyczną uwagę odbieramy bardzo osobiście. To nigdy nie powinna być zbyt szeroka kategoria (nie każdy film czy książka może być naszym skarbem), ale warto zdawać sobie sprawę, że określone dzieła traktujemy w ten sposób. Bo zwykle znamy każdy argument przeciwko naszemu małemu skarbowi, ale wcale nie mamy ochoty rozmawiać na ten temat. I wiecie co? Nie ma nic złego w tym, by nie wdawać się w dyskusję. Można spokojnie powiedzieć, że dana książka, film czy serial jest dla nas ważny i choć

wiemy, że ma wady, nie lubimy o nich słuchać. Jeśli nasz rozmówca jest dobrze wychowany, uszanuje naszą postawę. Jednocześnie należy pamiętać, że to zawsze działa w dwie strony – jeśli po wyjściu z kina ktoś poprosi nas, byśmy zatrzymali krytykę dla siebie, dajmy mu do tego prawo. W końcu zawsze możemy znaleźć kogoś, kto myśli podobnie i przez chwilę poczuć się tak, jakbyśmy na całym świecie tylko my wiedzieli, w jakim stopniu jakiś film jest dobry albo zły.

Po czym poznać dobrą dyskusję o kulturze? Po pierwsze po tym, że pod koniec nasi znajomi czy kinowi towarzysze nie czują się ocenieni – w końcu nie chodzi o nich, tylko o film czy książkę. Po drugie liczy się to, że sami coś z niej wyniesiemy – chociażby świadomość, co innym nie podobało się w naszym nowym ulubionym serialu. Po trzecie po satysfakcjonującej wymianie opinii zamiast myśleć o tym, że już nigdy z nikim nie chcemy rozmawiać, nie możemy się doczekać kolejnych dobrych dyskusji o kulturze.

SAMEMU NIE ZNACZY SAMOTNIE, CZYLI JAK WYBRAĆ SIĘ DO KINA W POJEDYNKĘ

Nie tak dawno temu zdarzyło mi się rozmawiać ze znajomą, która narzekała, że nie ma czasu chodzić do kina. Szybko okazało się, że choć sama znalazłaby godzinkę czy dwie, żeby wyskoczyć na jakiś seans, nie mogła znaleźć nikogo do towarzystwa. Zapytałam, czy nie mogłaby pójść sama. Okazało się, że nigdy nie chodziła do kina w pojedynkę i nie przyszło jej to nawet do głowy. Nie jej jednej. Ludzie są przekonani, że do kina chodzi się w towarzystwie. Tymczasem nie ma nic lepszego niż samotne seanse.

Zacznijmy od spraw czysto organizacyjnych. Ile razy zdarzało się, że musieliśmy długo umawiać się ze znajomymi, aż w końcu wszyscy znaleźli czas, żeby pójść na film, który chcieliśmy obejrzeć. Albo musieliśmy ciągnąć przyjaciół czy rodzinę na produkcję, która niekoniecznie ich interesowała. Ja sama nie raz zwodziłam moich braci, by zgodzili się ze mną pójść do kina. Kiedyś spędziłam sporo czasu, zapewniając ich, że *Postrach nocy* to poważny film o wampirach, tylko dlatego, że chciałam zobaczyć na ekranie Davida Tennanta w skórzanych spodniach.

Do tego na niektóre seanse po prostu nie sposób znaleźć towarzystwa. Można spędzić sporo czasu, dzwoniąc po wszystkich znajomych, a pod koniec dnia i tak nie znaleźć nikogo, kto obejrzy z nami *50 twarzy Greya* albo węgierski dramat obyczajowy. Jeśli chodzimy do kina ze znajomymi, zdarza się, że o tym, co zobaczymy, bardziej decyduje ich gust niż nasz. Inna sprawa, że czasem łądujemy w kinie na czymś, co zupełnie nas nie interesuje, ale wybrali to nasi znajomi, a przecież – musimy chodzić do kina razem.

Wszystko staje się dużo prostsze, jeśli przyjmiemy, że w samotnym chodzeniu do kina nie ma nic złego i dziwnego. Awaria prądu w pracy i nagle mamy wolne popołudnie? Do kina. Nudzi nam się w niedzielę wieczorem? Do kina. Właśnie na ekrany wszedł ten irański film, którego nikt z naszych znajomych nie chce zobaczyć? Do kina. Przechodzimy właśnie obok kina? Do kina. Jedyłą osobą, która musi mieć czas, pieniądze i ochotę, jesteśmy my sami. Chodzenie do kina w towarzystwie często powstrzymuje nas od spontanicznego działania. Tymczasem niektóre spośród najlepszych filmów, jakie widziałam w życiu, zobaczyłam, bo akurat byłam pod kinem, kiedy zaczynał się seans. Nigdy nie zapomnę, kiedy weszłam do kina Atlantic, zachęcona sympatycznie wyglądającym plakatem. Okazało się, że trafiłam na przedpremierowy pokaz filmu *To właśnie miłość*. To niesamowite uczucie: wejść do kina z ulicy, bez sprawdzania godzin seansów, umawiania się, gdzie dokładnie się spotkamy, i długiego negocjowania, jaki tytuł chcemy obejrzeć. Samotne, spontaniczne seanse to cudowny sposób na to, by wyrwać się z rutyny oglądania tylko tych filmów, które są interesujące dla

większości naszych znajomych. Nie mówiąc już o tym, że jeśli trafi się nam wolne przedpołudnie, to możemy obejrzeć ciekawy film, płacąc dużo mniej za bilet.

Oglądanie filmu w pojedynkę ułatwia skupienie się na fabule. Od momentu zgaszenia świateł do chwili ich zapalenia jesteśmy tylko my i film. Nikt nas nie zapyta: „Jak długo jeszcze?” w połowie seansu, nikt nie będzie się śmiał w innych momentach niż my (a właściwie nikt, na czyjej opinii może nam zależeć), ani też szeptał dowcipnych uwag do ucha. Oczywiście – wymiana szeptem opinii w czasie seansu bywa bardzo zabawna, ale z drugiej strony – możliwość całkowitego zanurzenia się w świecie filmu i zapomnienie o całym bożym świecie, w tym o naszych znajomych – to dopiero cudowne przeżycie. Zwłaszcza że kiedy wychodzi się w większej grupie, zawsze wcześniej czy później okazuje się, że kogoś z naszych znajomych seans tak nie wciągnął i albo zaczyna głośno wzdychać, albo komentować, albo, co najgorsze... czytać książkę. Raz mi się to zdarzyło i było to bardzo dziwne wyjście do kina. Jeśli roześmiejemy się za głośno albo – co ważniejsze – uronimy łzę, wiemy, że nie będzie żadnych ważnych świadków tych emocji, które (choć nie ma w nich nic złego) czasem niosą ze sobą odrobinę wstydu. Zwłaszcza jeśli ocieramy łzę na którejś części *Szybkich i wściekłych* (co też mi się zdarzyło). To trochę jak z kupowaniem popcornu przed wejściem na seans. Czasem najfajniejsze w takiej samotnej wyprawie jest zakup olbrzymiego wiadra popcornu – coś, czego nigdy nie zrobimy w towarzystwie znajomych. Wstydzimy się trochę zarówno własnej łapczywości, jak i faktu, że chcemy sobie coś podjadać w czasie seansu. Kiedy jednak jesteśmy sami, nikt nie będzie nas

oceniał. Chcemy popcorn – kupimy popcorn, chcemy ominąć barek i mieć na sali kinowej ciszę i spokój – nie ma problemu.

Chodzenie do kina w pojedynkę daje nam nie tylko komfort oglądania filmu w skupieniu, ale też samodzielne ustalenie, co o nim tak naprawdę myślimy. Osobiście przyznam – dla mnie to jedna z największych zalet samotnych seansów kinowych. Oto wychodzimy z kina i niekoniecznie od razu wiemy, co tak naprawdę myślimy, co właśnie widzieliśmy. Jeśli coś się nam nie podobało – czasem zajmuje trochę czasu, zanim wskażemy, czy zniechęciła nas fabuła, gra aktorów, czy może nieporadność reżysera. Jeśli coś nas zachwyciło, wtedy jest jeszcze trudniej, bo chciałoby się wyjść poza stwierdzenie, że seans był fajny, i jasno określić, co tym razem zagrało. Najgorzej jest, kiedy wychodzimy z kina poruszeni i w ogóle nie mamy ochoty z nikim rozmawiać, bo sam film nas jeszcze „trzyma”. Tymczasem gdy idzie się do kina z grupą znajomych, często już po wyjściu z sali kinowej zaczyna się negocjowanie wspólnej opinii o filmie. Pół biedy, jeśli wszyscy mają mniej więcej to samo zdanie – choć wspólne krytykowanie czy zachwywanie się filmem też może być męczące, zwłaszcza jeśli lubi się mieć więcej czasu na przemyślenie opinii. Najgorzej jest jednak wtedy, kiedy okazuje się, że np. film podobał się naszym znajomym, a my jesteśmy w połowie kolejki po zwrot kasy za bilety. Albo kiedy my czujemy się poruszeni, a znajomi właśnie powstrzymują kolejne ataki ziewnięć. Wtedy dyskusja może być nieprzyjemna dla obu stron – bo nikt nie przepada za byciem wykluczonym czy nawet za spieraniem się nad czymś, co właśnie się obejrzało. Zwłaszcza że takie dyskusje, prowadzone na szybko, mogą prowadzić do wymiany dość

uproszczonych i nieprzyjemnych argumentów. Oczywiście nie zawsze! Zdarzają się przypadki, kiedy dyskusowanie o filmie ze znajomymi jest najlepszym momentem wieczoru. Ale brak tego przymusu natychmiastowej oceny też ma wiele zalet.

Samotne chodzenie do kina powoduje też, że nie ma problemów, które pojawiają się, kiedy zdajemy sobie sprawę, że trafiliśmy na seans z zupełnie nieodpowiednią osobą. Jedna z moich przyjaciółek na skutek dość skomplikowanego splotu okoliczności wyłądownała w kinie na *Wstydzcie*, ponurym filmie o mężczyźnie walczącym z seksoholizmem. Jej towarzyszem w czasie tego seansu był mąż przyjaciółki. Ledwo się znali, zamienili raptem kilka słów i teraz nagle przyszło im wspólnie oglądać, jak Michael Fassbender zmagają się z uzależnieniem od seksu. Nie trzeba chyba dodawać, że nie był to najlepszy seans w ich życiu. Mnie osobiście też zdarzyło się z dużym trudem namówić chłopaka na romantyczny wypad do kina w Walentynki tylko po to, by w trakcie seansu usłyszeć chrapanie. Co prawda mój partner tłumaczył się, że poprzedniego dnia jechał kilka godzin pociągiem, ale być może bardziej niż zmęczenie uspiła go polska komedia romantyczna. Takich przykładów nieudanych wspólnych wypadów do kina każdy z nas ma na liście co najmniej kilka. Wielu z nich można by uniknąć, wybierając się tam samemu.

Odpowiedzialność spada z nas także przy wyborze repertuaru. Powiedzmy sobie szczerze – trudno o gorsze uczucie niż to, kiedy przez kilka tygodni namawiamy znajomych, by poszli z nami do kina, tylko po to, by ostatecznie wyłądownać na wyjątkowo marnej produkcji. Ile wyrzutów sumienia, jaka wpadka!

Jak wyjaśnić, że film naprawdę zapowiadał się ciekawie, grali w nim dobrzy aktorzy, miał sympatyczny trailer i nie sposób wyjaśnić, co poszło nie tak. A jeśli udało się nam wyciągnąć przyjaciółkę na film z naszym ulubionym aktorem i zamiast zachwyków spotykamy się z oczekiwaniem rekompensaty za dwie zmarnowane godziny życia? Nawet jeśli nikt głośno nas nie wini ani nie oświadcza wszem i wobec, że straciliśmy mandat niebios na wybór filmu do oglądania, nadal jest nam głupio. Taka wpadka zdarza się nawet najbardziej doświadczonym wielbicielom dziesiątej muzy. Jakiś czas temu namówiłam moją rzadko odwiedzającą kino mamę, żeby poszła ze mną na film katastroficzny *San Andreas*. Mama lubi kino katastroficzne, ale w tym przypadku granica głupoty została przekroczona. Tymczasem kiedy samotnie zdarzy się nam taka repertuarowa wpadka, możemy wzruszyć ramionami i spokojnie stwierdzić, że obyło się bez ofiar w ludziach i tylko my straciliśmy trochę czasu. Nawet nie musimy nikomu mówić, że poszliśmy do kina. Zresztą oglądanie głupich filmów samemu czasem sprawia trochę więcej radości niż w towarzystwie. Zabranie kogoś na bardzo zły thriller wiąże się z lekkim poczuciem winy. Samotna wyprawa może się skończyć całkiem przyjemnym oglądaniem katalogu klisz fabularnych i zwykłą radością z faktu, że było się w kinie.

Problem samotnego chodzenia do kina to przede wszystkim kwestia tego, co siedzi w naszych głowach. Większość z nas postrzega chodzenie do kina jako rozrywkę grupową. Tak właśnie jesteśmy wychowywani, tak wypadki do kina przedstawia nasza kultura. Dla wielu osób pierwsze spotkanie z kinem to wycieczka klasowa, co też kształtuje myślenie o seansie filmowym

jako o doświadczeniu zbiorowym – z przyjaciółmi, kolegami, dziećmiakami z tej samej klasy. Wśród lęków związanych z samotnym wyjściem do kina jest obawa o to, że zostaniemy posądzeni o brak znajomych i będziemy musieli przyznać się przed sobą do jakiejś klęski. Można by to porównać do samotnego jedzenia w restauracji. Niby nikt nam nie zabroni, ale dla niektórych siedzenie w pojedynkę przy restauracyjnym stoliku to symbol samotności. Do tego dochodzi prosty fakt – większość z nas nawet nie próbuje iść do kina, nie organizując sobie towarzystwa – skoro już wybraliśmy film, który nas interesuje, naturalne wydaje się napisanie czy zatelefonowanie do znajomych z pytaniem, czy nie mają ochoty na seans.

Takie wdrukowane kulturowe schematy korzystania z kultury czasem potrafią działać na naszą niekorzyść. Zwłaszcza wtedy, kiedy zdamy sobie sprawę, jak bardzo nas ograniczają. Nieraz zdarzało mi się usłyszeć ciężkie westchnienie osoby, która bardzo chciała coś obejrzeć, ale nie miała z kim. Na moje pytanie, dlaczego właściwie są nam potrzebni w kinie znajomi, nie umiała znaleźć odpowiedzi. Bo nie ma logicznego argumentu – poza tym, że tak nas wychowano. Wychodzenie poza wyuczone schematy konsumpcji kultury jest bardzo trudne. Nie chcemy odstawać, trzymamy się tego, co już znamy, boimy się oceny. Ale w przypadku chodzenia do kina dość szybko zdamy sobie sprawę z jednego – że mało kogo tak naprawdę obchodzi, czy poszliśmy do kina sami, czy z przyjaciółmi.

Tu muszę zaznaczyć: nie mam nic przeciwko chodzeniu do kina ze znajomymi. Takie wypadki są bardzo przyjemne, głównie

dlatego, że w ogóle nie chodzi w nich o filmy, tylko o spędzanie czasu z przyjaciółmi. Dlatego bardziej niż sam seans, który jest tylko pretekstem czy dodatkiem do spotkania, cieszą nas dyskusje przed filmem i po nim, możliwość poplotkowania i pogadania z ludźmi, których lubimy. Tylko że ten sympatyczny skądinąd sposób spędzania czasu nigdy nie powinien stać na drodze naszej miłości do kina. Filmów nie kręci się dla zorganizowanych wycieczek, tylko dla widza, tej osoby, która w ciemności spotyka się z fabułą i aktorami. Jeden odbiorca wystarczy, by seans filmowy miał sens, wcale nie jest potrzebna cała grupa. Dlatego w samotnym oglądaniu nie tylko nie ma nic złego – zbliża nas ono do idealnej sytuacji, w której wszystko, co łączy nas ze światem zewnętrznym, zostaje gdzieś daleko, a liczą się tylko widz i film. Pomyślcie o tym, ile razy oglądaliście film zupełnie sami – siedząc przed komputerem. Mało kto czuje się dziwnie w takiej sytuacji. Dlaczego więc miałyby czuć się dziwnie w kinie?

Jednak najważniejszy powód, by chodzić samemu do kina, jest prosty. Bo mamy ochotę. Jeśli nie pójdziemy do kina, bo nie możemy znaleźć sobie towarzystwa, to stracimy na tym tylko my. Trudno pojąć, dlaczego inni ludzie mieliby decydować, które filmy obejrzymy w kinie, a których nie. Przecież to nie ma sensu. Zbyt często pozwalamy, by lęk przed tym, co ludzie powiedzą, decydował o naszym wolnym czasie. Nawet jeśli kasjer w kinie uzna za dziwne, że nie mamy znajomych (nie uzna, ma lepsze rzeczy do roboty), czy powinno nas to obchodzić? Czy mamy sobie odmawiać przyjemności tylko dlatego, że nasi znajomi nie mają czasu, mają inny gust czy akurat nie ma ich w mieście? Nikt nie da nam nagrody za największą liczbę filmów, których nie

obejrzelśmy w kinie, mimo że mieliśmy ochotę. Może to brzmi górnolotnie, ale naprawdę mamy tylko jedno życie i nie warto marnować czasu na odmawianie sobie przyjemności, bo przyjęło się, że do kina raczej chodzi się grupą.

Jeśli najdzie nas ochota, to nie ma nic prostszego niż kupić bilet. Może się też okazać, że wcale nie jesteśmy na sali aż tak bardzo samotni, jak się nam wydaje. Oglądanie filmów z grupą nieznanych ludzi szybko tworzy poczucie więzi. Śmiejemy się razem, wdychamy razem, czasem nawet klaszczemy razem. Poza tym jeśli w czasie trailerów głośno westchniemy albo zirytowani potrząśniemy pięścią, może się okazać, że nasi najlepsi towarzysze kinowi już czekają na sali. Serio, rozpoczęcie rozmowy przed seansem w kinie jest jedną z najprostszych rzeczy na świecie. Wiem, bo samej mi się zdarzyło spędzić w ten sposób minuty dzielące mnie od rozpoczęcia filmu.

Nie ma przymusu chodzenia do kina ze znajomymi. Podobnie jak nie ma przymusu, żeby chodzić samemu. Ale tych, którzy się boją, że samotna wyprawa do kina może stawiać ich w złym świetle, muszę zapewnić – jeśli w kinie obejrzymy dobry film, to nagle wszystkie te wątpliwości ulecą nam z głowy. Sama pamiętam, jak kiedyś, wychodząc z domu, spontanicznie postanowiłam, że pójdę do kina. Akurat w *Atlanticu* grali *Piratów z Karaibów*. Kupiłam popcorn i colę, usiadłam w przedostatnim rzędzie i zupełnie bez żadnych oczekiwań obejrzałam film, o którego fabule naprawdę nic wówczas nie wiedziałam. Kiedy po seansie wychodziłam z olbrzymim uśmiechem, przyszło mi do głowy, że to była chyba jedna z najcudowniejszych filmo-

wych niespodzianek mojego życia. Wokół nie było nikogo, kto by wytknął luki w fabule. Żadnego kręcącego nosem konesera, który rozwodziłby się nad miałkością kina popularnego. Nie było konieczności rozkładania obrazu na części ani prowadzenia rozmowy o czymś zupełnie innym. Nie trzeba było za nikim nadążyć, nikogo pytać o wrażenia. Nie trzeba było się tłumaczyć z trudnej walki z pokusą, by kupić sobie bilet na kolejny seans jeszcze tego samego dnia. Byłam tylko ja i muzyka Hansa Zimmera, którą nuciłam całą drogę do domu. Jest to jedno z najmilszych związanych z kinem wspomnień, jakie mam. I wiecie, czego w tym wspomnieniu nigdzie nie ma? Żalu, że byłam sama.

Zwierzenia popkulturalne
Copyright © Katarzyna Czajka-Kominiarczuk
Copyright © Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Martina Wyżgoł
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

druk ISBN 978-83-7995-342-4

epub ISBN 978-83-7995-343-1

mobi ISBN 978-83-7995-344-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Marta Kładź-Kocot

Korekta: Monika Halman

Korekta techniczna: Beata Paździurkiewicz, Katarzyna Kowalska

Adiustacja autorska wydania i projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Martina Wyżgoł

Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl